Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena numeru 30 gr

MARKOWA — SIERPIEŃ 1939



kobieta WIEJSKA



NR 5 WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU ROK 1

PHOTO-PLAT

.... żeby dobrze plonowało
po sto korcy z kopy dało....

„Wolność i ojczyzna! Te dwa słowa — to całe serce moje. Jeżeli jedno z tych słów ze serca mego wyrwiecie, — to serce bić przestanie...“

Z mowy DANTONA

„Siostry Włościanki! I na was spada dzisiaj wielki i zaszczytny obowiązek obywatelski. Oddawajcie mężów, synów i braci w służbę ciężką, ale pełną chwały. Pędzcie precz ze wsi i z zagród swoich tych co z wojska uciekli, bo oni honor narodu i ludu splamili. Pogardę okażcie tym, co w chwili gdy Wam grozi niebezpieczeństwo, gdy Wam grozi shańbienie i zniszczenie, siedzą w domu i od służby wojskowej się uchylają. W ten sposób uratujecie Ojczyznę, uratujecie przyszłość swoją i swoich dzieci. Wierzę, że ten obowiązek spełnicie.“

Temi słowy zwrócił się do kobiet w swojej „Odezwie do włościan“ w dniu 30 lipca 1920 r., ówczesny prezydent Rządu Obrony Narodowej Wincenty Witos.

Poraz pierwszy odwołano się do uczuć patriotycznych kobiet wiejskich. A była to w dziejach naszego narodu chwila osobliwa.

Dopiero przed kilkunastu miesiącami skończyła się jedna z najkrwawszych rzezi między ludami świata. Jeszcze dymiły zgliszcza, jeszcze widniały wszędzie ślady straszliwego zniszczenia, jeszcze nie przebolały znękane serca matek, żon, siostr, swoich ukochanych, nie obeschły łzy sierot, gdy znów wielotysięczny wróg stanął nad Wisłą, pod murami Warszawy i groził nam zagładą.

Znaleźliśmy się w ciężkim położeniu, zaledwie kilkanaście miesięcy upłynęło, gdy przeszło po stuletniej niewoli wywalczyliśmy Polskę niepodległą. Cały kraj był zniszczony i wyczerpany wojną, która się toczyła i na naszych ziemiach. Nie było pieniędzy nie było licznej dobrze uzbrojonej armii. Dopiero przystępowaliśmy do organizowania naszego życia państwowego i gospodarczego, a już stary robak niezgody zaczynał toczyć społeczeństwo. Obliczył to wszystko wróg i pewny był zwycięstwa.

Ale zawiodły go przewidywania, bo nie znał sił ukrytych w duszy polskiego chłopa i robotnika.

W obliczu groźnego niebezpieczenstwa zbudziła się w narodzie jedna potężna wola — obrony. Kto żyw chwycił za broń.

Poszli inteligenci, poszli robotnicy, nawet młodzież nieletna, ale chłopi przeważyli swą masą szalę zwycięstwa

Zrozumiały słowa premiera Witosa i kobiety wiejskie. 100 tysięcy synów chłopskich jako ochotników znalazło się. w szeregach walczących.

I oto w słoneczny dzień 15 sierpnia rozniosły druty telegraficzne zdumionemu światu wieść, że Rosja bolszewicka sromotnie pobita cofa się w panicznej ucieczce od bram polskiej stolicy.

Radość i podziw ogarnęł naszych przyjaciół, strach padł na wrogów.

Bitwę tę nazwano osiemnastą decydującą bitwą świata. Gdyby nie to zwycięstwo polski nad Rosją Sowiecką, która chciała narzucić nam przy pomocy bagnetów swych żołnierzy ustrój komunistyczny, kto wie, jak potoczyłyby się losy Europy.

Dzień 15-go sierpnia święcimy jako dzień czynu chłopskiego, który uratował Ojczyznę. Tego roku święto to obchodzimy w okolicznościach szczególnych.

Dreszcz niepokoju o jutro wstrząsa światem, nam zaś zagraża drugi odwieczny nasz wróg — Niemcy. Pragniemy pokoju bo jest nam potrzebny do odbudowy naszego państwa. Nie wyciągamy ręki po cudze.

„Nie pożąda ani jeden z nas piędzi ziemi niemieckiej.“

Nie chce ani jeden z nas władzy nad jedną duszą niemiecką.

Nie wyciąga ani jeden z nas dłoni po przemoc nad władzą, nad mową niemiecką.

Jesteśmy synami czcicielami pracy. Nie pożądamy niczego, co jest poza granicami, gdzie już nasza mowa wygasła. „Musimy bronić się od zagłady“.

Nie pozwolimy na naruszenie naszych granic, naszych praw i godności, a swoją wolność i niepodległość cenimy ponad wszystko“.

„Niech nikt nie sądzi, że nasza miłość ojczyzny ma mniejsze prawa, lub mniejsze nakłada obowiązki, aniżeli jego miłość ojczyzny. Przed tą pomyłką ostrzegamy“, — powiedział Marszałek Śmigły Rydz 6 sierpnia na zjeździe legionowym w Krakowie. Za słowami tymi stoi cała Polska.

Dziś jesteśmy w dużo lepszym położeniu niż dziewiętnaście lat temu. To też ze spokojem stawiamy straż u naszych granic, żyjemy w stanie ciągłego pogotowia.

Jakaż będzie rola nas kobiet wobec idących wydarzeń?

Zwycięstwo w obecnej wojnie zależeć będzie nietylko od walk frontowych, ale od postawy, od gospodarczego przygotowania i siły moralnej społeczeństwa wewnątrz kraju, — a więc przede wszystkim od kobiet. Bo wszyscy co zdatni do noszenia broni mężczyźni pójdą do szeregów, zostaną tylko schorowani, starcy, kobiety i dzieci.

Na kobiety wiejskie spadnie bardzo trudny i bardzo odpowiedzialny obowiązek. Od nas zależeć będzie wyżywienie armii, ludności cywilnej miast. Na nas spadnie cały trud gospodarowania. Przyjdą ciężkie chwile. Przyjdą dni męki i niespokojnego wyczekiwania. Trza będzie chycić i za pług, za kosę i harować bez upamiętania. Plony nie mogą się zmniejszyć, przeciwnie, w czasie wojny trzeba więcej chleba, więcej mięsa niż w czasie pokoju, aby żołnierz nasz mógł podołać trudom dalekich marszów i wysiłków.

Ale niedość widzieć tylko swoje troski, swoje sprawy. W pojedynkę, w odosobnieniu od gromady, nikt rady sobie nie da. Wtedy właśnie trzeba będzie wielkiej solidarności zgody, siostrzanego słowa i poratowania.

Będą chorzy, będą epidemie, trza ze wszystkim sobie poradzić. Będzie ewakuacja dzieci i ludności, miast na wieś—nasza pomoc będzie niezbędna. W czasie ataków lotniczych, pożarów, trza się będzie wspólnie ratować.

Całą gospodarkę spółdzielczą we wsi, kobiety muszą wziąć w swoje ręce i tak nią gospodarzyć, żeby nic z dotychczasowego dorobku nie uronić.

A wzajemne wspomaganie się przy kośbie, kopaniu orce itd., musimy zorganizować sobie opiekę nad dzieckiem, ponieważ na nas spadnie wiele pracy i obowiązków, nie będziemy mogły wiele czasu poświęcić swoim dzieciom. Ktoś musi się nimi zaopiekować i opieką je otoczyć.

Wiele, wiele spraw trudno je wszystkie wymienić zjawia się przed nami. Trzeba się już zawczasu z nimi zapoznać i na tą nie znaną chwilę sposobić.

B. DEJWOREK

Chłopi — Polsce

Nie chodzi o wyliczanie zasług dla pychy lub chwalby, ale o prawdę tam, gdzie ona jest zapominana lub świadomie pomijana.

Wbrew powszechnie utartemu i bezmyślnie powtarzanemu zdaniu i w dawnej Polsce, mimo przygniotu pańszczyzny i odsunięcia chłopa od wszystkiego, kiedy zaś chodziło o ratunek zagrożonego bytu Polski ten uciemiężony chłop bezinteresownie Polskę ratował. Ślepa na wszystko miłość własna szlachty, czy duchownych, co przeszłość Polski opisywali, kazała wbrew prawdzie fakty takie zamilczać, lub na wyłączne dobro warstwy swojej zaliczać.

Któż nie pamięta z opisów i ze szkoły strasznych napadów Tatarów, którzy wsie i miasta w perzynę obracali, mordując lub biorąc do niewoli ludność, że tylko niebo i ziemia utratowana zostawała. Zniszczenie, wyludnienie, głód i choroby zostawały na długie lata, wszystko w gruzach, ludzie dziczeli. Z tej katastrofy ratują Polskę chłopi swą pracą, odbudowując własnemi rękoma, wypracowując wszystko co do życia i odbudowy było potrzebne. Gdy zamało było rąk miejscowych, sprowadzeni koloniści, też chłopi, brak ten uzupełniali i oto szybko wyrastają wsie, ożywiają się miasta, kościoły, dwory i zamki, są i pieniądze na potrzeby wyższe — a czyjąż to jak nie chłopską pracą?

Ledwo pół wieku upłynęło Czesi zajęli Kraków i całą Polskę, a Łokietkowi pragnącemu Polskę oswobodzić chłopi pomagają, gdyż możni, szlachta i mieszczanie całkiem go odstąpili. Trzy razy dobijał się Łokietek wytrwale ojcowizny, aż ją nareszcie wyzwolił, a potem trza było zniemczone i buntujące się miasta poskramiać i od Krzyżaków Polskę bronić. We wszystkich tych zapasach, gdy chodziło o to, czy Polska ma być samodzielna czy też czeską kolonią lub krajem wydanym na zniemczenie, chłopi przynieśli jej ratunek. Nic dziwnego, że dziedzic i syn Łokietka Kazimierz Wielki tak umie chłopów cenić, bo wie za co! Wie co on jako król i co Polska tym chłopom zawdzięcza!

A kiedy przyszedł rozkwit kulturalny i gospodarczy złotego wieku — za czyjąż to sprawą? Skądże brały się pieniądze, by młodzież szlachecka mogła za granicę na nauki jeździć, by szkoły w Polsce powstawały itd.? Przecież szlachta na to nie pracowała. — Rosły piękne świątynie i pałace, ozdabiane obrazami i rzeźbami mistrzów i artystów, mnożą się księgi, polskie poselstwa zagranicą — bogactwem i rozrzutnością cenią obcym oczy. Znowu najcięższa praca chłopa przez podatki i daniny, przez posługi i powinności pańszczyźniane, dostarczała wszelkiego dobra na ów rozkwit kulturalny, a ci, którzy tą gotowizną tylko rzadzili i szafowali — wrychle poczęli ją trwonić.

Chłopi zaś doczekali się w nagrodę tylko większego ucisku. Pozbawiono ich resztek praw, które posiadali, sprowadzając ich do roli zwierzęcia roboczego.

Niepomny na to chłop służył Polsce według możności, a wiernie i niezłomnie. Nigdy nic nie brał dla siebie, za to nigdy Polski „nie zdradził ani odstąpił" — to czynili nieraz „wybrańcy", dostojeństwami obsypani.

W dniach zalewu szwedzkiego, kiedy szlachta i możni Ojczyzny i króla swego odstąpili, że król uchodzić musiał i kraj cały wydany był na pastwę najeźdźcy — znowu widzimy chłopów, biorących udział w bohaterskich zmaganiach się ze Szwedami, a powracający król Kazimierz składa we Lwowie „śluby", w których pod przysięgą zobowiązuje się chłopską dolę poprawić, widząc wielkie zasługi chłopów i pomoc przy wypędzeniu Szwedów. Niestety — gdy Szwedzi zostali zupełnie wyparci z kraju, zapomniał król o ślubach uroczystych, a na chłopa większe jeszcze przyszły ciężary związane z naprawą szkód po wojnie.

Wreszcie upadek i rozbiory Polski. Czasy rozpasania i nieróbstwa szlachty, ciemiężenia bezlitosnego chłopów. Magnaci i prałaci zdradzają Polskę za pieniądze, gdyż na pijatyki nie starczyło im tego, co z chłopów wycisnęli. Nazajutrz po rozbiorze — księża śpiewają po kościołach „Te Deum" za zaborców. Król z Targowiczanami zdradza. W tych dniach hańby narodu — znowu chłopi pod Racławicami ratują to, co można jeszcze uratować — honor Polski. Szlachta za to bojąc się utraty pańszczyźnianej robocizny — utrudnia Kościuszce działanie, księża odmawiają chłopom idącym na wojnę spowiedzi (w Winiarach pod Połańcem). W takich warunkach i powstanie Kościuszki i Polska upadła, ale został bohaterski testament, uratowano godność narodu. — Kosy Racławickie wyrąbały Polsce przyszłej drogę ku odrodzeniu.

I w powstaniach przeciw zaborcom nie brak chłopów, choć powstania te nie umiały się zdobyć na pełne postawienie sprawy chłopskiej — zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia. Ba, spotykamy chłopów i na obcych ziemiach w legionach, jak z wiarą w gwiazdę Napoleona leją cicho krew, wierząc „że nie zginęła..." Bohaterski pułk czwartaków nieśmiertelną okryty sławą, za boje pod Olszynką w powstaniu listopadowem, składał się w 63% z chłopów!

O roli chłopów w walce z Niemcami pisano w poprzednim numerze „Kobiety Wiejskiej".

Czasy wojny światowej i wyzwolenia Polski stoją nam żywo przed oczyma. Lecz choć przeżywaliśmy to bezpośrednio, nie jesteśmy w stanie ocenić postawy narodu, a zwłaszcza chłopów w tym wielkim dziele wywalczania i obrony Polski w 1920 roku. Dopiero przyszłe pokolenia będą patrzeć ze zdumieniem i czcią na tych, co Polskę wywalczyli, obronili, odbudowali po zniszczeniach wojennych i przebudowali na nowe tory demokratyczne. W tym wysiłku na wielką miarę udział chłopów jest ogromny. W 1920 roku „ochotnika" było 105.000 ze wsi, a poborze przeszło połowa, to chłopi. Na czele Rządu Obrony Narodowej staje W. Witos — chłop.

I jak zawsze tak i tutaj chłopi „którzy nigdy Ojczyźnie się nie sprzeniewierzyli, a chętnie na ratunek Jej spieszyli" — okazali się elementem niezawodnym.

Postawa chłopów wobec dzisiejszych zdarzeń światowych jest taka sama i — co więcej — pełna świadomości i bogata w doświadczenia. W tych doświadczeniach obok tradycji bohaterstwa, nie z winy chłopów niestety, niemało jest goryczy i zawodu w stosunku do tych — co Polskę reprezentowali.

Pracę dla Polski i Jej obronę chłop pojmuje jako swój prosty obowiązek życiowy, pomnożony przywiązaniem do ziemi.

Chłop — poniżany przez tyle wieków, mający tak gorzkie doświadczenia, tembardziej odczuwa potrzebę sprawiedliwości — i zawsze — jak dawniej — tak i dziś będzie pracował, bronił ofiarnie i budował wolną i sprawiedliwą Polskę.

WOJCIECH JANCZAK

Ważne sprawy chłopskie

REFORMA ROLNA

Myślę, że będzie dobrze, jeżeli na tym miejscu w kilku numerach „Kobiety Wiejskiej“ omówimy sobie naj ważniejsze sprawy chłopskie, o które od lat chłopi toczą już walkę, a które które są naszymi ogólno chłopskimi sprawami. Mówimy, że są to sprawy ważne. Tak. Od ich należytego i szybkiego rozwiązania zależy bowiem przyszłość klasy chłopskiej i narodu polskiego, którego chłopi są głównym trzonem i siłą. Rozwiązania zaś tych spraw, tak jak my to sobie wyobrażamy, bez naszego udziału nikt rozwiązać nie zdoła. My sami o realizację tych spraw walczymy i walczyć musimy dalej; musimy wytężyć wszystkie siły chłopskie wspólnie, razem, mężczyźni i kobiety, tak samo jak wspólnie pokonujemy codzienny ciężki trud chłopskiego życia na chłopskim zagonie. Zwyciężymy w tej walce, jeżeli wszyscy razem i zgodnie weźmiemy w niej udział, wspierani świadomością i wiarą w słuszność sprawy, o którą walczymy.

Do najważniejszych spraw chłopskich i ogólno państwowych nawet należy reforma rolna. Praktycznie rozumiemy ją głównie jako parcelację obszarów ziemi dworskiej, bez względu na to w czyich znajduje się rękach i podzielenie tej ziemi między tych, którzy **własnymi rękami** na ziemi pracują. Nie chcemy zaś tego oddania ziemi folwarcznej w ręce chłopów nie dlatego, że nam się tak podoba, że kierujemy się tylko nienawiścią do szlachty, chociaż ogół szlachty na wdzięczność chłopów wcale nie zasłużył, za zbrodnie, jakie na chłopach kiedyś dokonywał, ale chcemy dlatego, że nie możemy spokojnie patrzeć **na miljonowe rzesze bezrobotnej i głodującej ludności wiejskiej.**

Wsie nasze obok zbytkownych i wspaniałych rezydencji dziedzicowskich zamieszkują masy bezrolnych i małorolnych, w ciasnych i brudnych chałupach, gdzie nie życie i zdrowie, ale śmierć i choroba z każdego kąta na człowieka czyha. Ludzie ci, pozbawieni jakiegokolwiek oparcia życiowego, jakiegoś jaśniejszego blasku przyszłości, zdani, jak się to mówi, na łaskę losu, tępieją moralnie i umysłowo, stają się źli i apatyczni, pochopni do występku i zbrodni. Jedyną możliwością, to praca za psie pieniądze na pańskim folwarku, gdzie nietylko na życie zarobić nie można, ale gdzie jeszcze każą rozumięć, że się jest człowiekiem gorszego gatunku i do podlejszych przeznaczonym zadań.

Masy takich ludzi, bez ziemi lub też na małych tylko jej skrawkach żyjących, są w Polsce bardzo duże.

Układ bowiem stosunków społeczno-gospodarczych na wsi naszej charakteryzuje się niespotykanym nigdzie, ogromnym przeludnieniem. Jak to rozumieć? Otóż tak, że na takim samym kawałku ziemi żyje w Polsce 2 razy tyle ludzi niż np. w Danii i przeszło 50% więcej niż n. p. w Niemczech lub w innych krajach rolniczych Europy. Więcej niż 65% gospodarstw w Polsce to gospodarstwa nie dochodzące do 10 mórg (5 ha) obszaru użytków rolnych. Conaj mniej zaś połowa z tej liczby to znów gospodarstwa całkiem malutkie, karłowate. Biorąc pod uwagę, że na tych malutkich gospodarstwach żyją rodziny chłopskie po 8 — 10 a nawet więcej osób i że to gospodartswo jest dla nich wszystkich jedynym źródłem utrzymania, zrozumiemy, jaki ciężki los jest tych ludzi. Dzieci dorastają, czas założyć własną rodzinę i pomyśleć o jutrze, a tu niema żadnego wyjścia, choćby dzień i noc o tym myśleć się chciało. Ciężki i tragiczny jest los młodzieży wiejskiej. Gdyby jeszcze poza wsią lub poza granicami własnej ojczyzny znaleść można było pracę i zarobek. Emigracja się skończyła zaraz niedługo po wojnie, przemysł zaś własny jest jeszcze tak mało rozwinięty, że nawet wszystkim ludziom w mieście pracy dać nie może. Sytuacja więc jest coraz gorsza i dziś już jest najwyższy czas, żeby to zło usunąć. Rozumiejąc te wszystkie rzeczy, a właszcza znając najdokładniej położenie wsi, chłopi poprzez swoje organizacje i związki wysunęli już dawno żądanie parcelacji majątków dworskich i oddanie ziemi w ręce chłopskie. Nie może być bowiem Polska — wołają chłopi — obrazem takiej krzywdy, żeby na 3-ch morgach konało z głodu 10 ludzi chętnych do pracy, a 1 obszarnik, żeby miał tych mórg tysiące i rozbijał się za krwawo na niego zarobione pieniądze po zagranicznych miejscowościach rozrywkowych czy klimatycznych.

Z chłopów wychodzą największe masy obrońców Ojczyzny; chłopi stanowią 70% całego społeczeństwa; chłopi od wieków dawnych, poprzez lata krwawej pańszczyzny na ziemi tej trwali i trwają do dziś, nie wyrzekając się jej ani na moment, ani na chwilę, przeciwnie, przepajając ją do gruntu chłopskim potem i krwią.

Chłopi zdobyli tym samym nieograniczone niczym **prawo do ziemi** i odebrana im kiedyś przez szlachtę ziemia, do nich wrócić musi. Tego wymaga przyszłość narodu i państwa polskiego; tego wymaga sprawiedliwość ludzka, jak najprościej pojęta i tego chcą chłopi. W wyniku walki chłopów z obszarnikami została wreszcie przez Sejm uchwalona reforma rolna i od kilkunastu lat parceluje się folwarki i tworzy samodzielne osady chłopskie. Nie jest jednak jeszcze ta ustawa taką, jaką chcieliby ją mieć chłopi. Zbyt duże obszary pozostawia ona jeszcze w rękach obszarników i zbyt łatwo pozwala obszarnikom uniknąć wogóle parcelacji. Ponadto stawia ona zasadę, że właściciel parcelowanego folwarku otrzymać musi zapłatę za swoją ziemię, co oczywiście uniemożliwia nabycie ziemi tym chłopom, którzy jej najbardziej potrzebują. O te dalsze zmiany w ustawie o reformie rolnej chłopi walkę prowadzą dalej i niejednokrotnie krew już w tej walce przelali. Ważna więc to sprawa, kiedy tyle wysiłku się w nią wkłada.

Mimo, że już reforma rolna — tak jak ją poleca przeprowadzać ustawa sejmowa z 1925 r. trwa killka lat zostały jeszcze do parcelacji znaczne zapasy ziemi, zwłaszcza na ziemiach zachodnich i jeszcze kilkadziesiąt tysięcy gospodarstw stworzyć będzie można, a tym samym dać chleb i pracę i lepsze spojrzenie w przyszłość wielu tysiącom ludzi. Trzeba tylko tej sprawy pilnować i nie pozwolić obszarnikom się bałamucić, którzy używają wszelkich środków i sposobów, ażeby wybić chłopom z głowy reformę rolną. Zakładają więc obszarnicy na spółkę z drugimi różnego rodzaju organizacje, stowarzysze-

K. ŚWIĄTEK-BALALOWA

Wieś — Legjonom w 1914 r.

(w rocznicę czynu legjonowego — wspomnienie)

Przez polskie gwarne miasta, ciche wioski, pachnące nowym chlebem pola, płynie od dawna złowróżbny szept: wojna, wojna.... Położona nad Wisłą, nad samą granicą nasza wieś Podlesie, pilnie nadstawia uszy. Wierzymy, nie wierzymy, dzisiaj gazety piszą tak, jutro znów inaczej, chwytamy chciwie każdą nawet niedorzeczną wiadomość ze wszystkich stron, pytamy każdego, kto przyjedzie z miasta o tę wojnę, boć zdaje się nam, że tam prędzej coś pewnego wiedzą niż my tu, w tym głuchym Podlesiu. A wszystkie znaki na niebie i na ziemi uporczywie wróżą o wojnie, która już zda się czuć w powietrzu.

Wczoraj późnym wieczorem oglądaliśmy z niemałym przerażeniem krwawy księżyc, ktoś znów opowiada, że widział na niebie po zachodzie słońca, czerwony krzyż, a nad nim złocistą polską koronę, inni słysza po nocach ponure wycie psów węszących śmierć, a starzy ludzie wspominają jak to zeszłego roku w jesieni ślicznie zakwitły jabłonki, co niezawodnie oznacza, że „młódź będzie gęsto mrzeć“.

A lato w całej pełni. Lipcowe słońce leje żar z pobladłego nieba na dojrzewające łany zbóż, żniwa za pasem, zaś urodzaje w tym roku takie wspaniałe jakby na żal....

Zestrachani ludziska nawet nocami zbierają na gwałt chleb, uspieszyć chcą przed tą wojną, by baby i dzieci miały co jeść, jak chłopy wojować pójdą.

Nagle jak grom z jasnego nieba spada wieść, że Austria wypowiedziała 28 lipca wojnę Serbii, a potem Rosji. Powołują do wojska mężów, synów, braci, biorą konie, wozy, we wsi straszny rwetes, płacz, lament, trwoga nie do opisania.

W pierwszej chwili zdawało mi się jakby naraz wszelkie życie ustało, a przedemną rozwarła się straszna, czarna przepaść, w którą runął cały świat.

Dzień i noc jadą koleją od Tarnowa na Szczucin masy wojska, drogą maszerują z wesołym śpiewem pułki piechoty i to prawie sami Polacy. Ciężkie węgier. konie ciągną ogromne armaty, warczą w górze samoloty, śmieją się do naszych urodziwych dziewuch ułani, a my podajemy im mleko, chleb z masłem, ser, owoce, muzyka gra, życzymy przez łzy szczęścia na wojnie no i pobicia znienawidzonych Moskali. Zachodzimy w głowę, radzimy we wsi co z tego wszystkiego wyjdzie dla Polski? Słychać, że pono Austria czyni półgębkiem różne obietnice Polakom za pomoc w wojnie, a Rosja głośno krzyczy, że nawet wolność da nam, jako bratniemu narodowi, jak tylko wojnę wygra z Austrią..

Niczem bomba wpada nagle do wsi wiadomość, że w Krakowie utworzyły się z młodych przeważnie ochotników, Legiony Polskie i 6 sierpnia pod dowództwem Komendanta Józefa Piłsudskiego, wyruszyły na Moskala na śmiertelny bój, o wolność i niepodległość Polski!...

Zawrzało we wsi jak w ulu. Serce wali mi jak młotem, wpadam zziajana do wójta i pytam, czy to prawda? Poważny, mądry wójt Jakób Bugajski, woła radośnie do mnie już z daleka, że Polskę mieć wolną będziemy! Zastaję trochę ludzi, nadchodzi ich coraz więcej, bo wójt otrzymawszy pismo od Naczelnego Komitetu z Krakowa o tych Legionach, zwołał czem prędzej gromadę. Kiedy się trochę uciszyło, tak prosto a krótko przemówił: „Z młodych ochotników utworzyły się w Krakowie Legiony polskie i poszły wczoraj 6 sierpnia walczyć na śmierć lub życie z Moskalem o taką Polskę, żebyśmy w niej sami gospodarzyli a nie rządzili nami obcy jak dotąd. Na to młode polskie wojsko potrzeba dużo pieniędzy, to też każdy z was jako dobry Polak, powinien dać co może, pieniądze, ziarno, nową bieliznę, werbować nowych ochotników do Legionów.

Musimy pomóc Matce — Polsce, dźwigającej się z przeszło stuletniej niewoli, aby nam i naszym dzieciom było kiedyś lepiej. Utwórzmy zaraz Komitet, któryby się zajął tą zbiórką, a do tego najwięcej nadają się kobiety, bo zresztą i tak wieś z chłopów jest wymieciona“.

Jednogłośnie do tego Komitetu wybrano wójta, dwie starsze poważne gospodynie, dwóch obstarnich chłopów i mnie miejscowa nauczycielkę. Umówiliśmy się pójść za tą zbiórką nazajutrz o godz. 8 rano. Ale właśnie nazajutrz raniutko, wyprawiałam do tych Legionów mojego kochanego braciszka Ludwisia i spłakana bardzo, spóźniłam się trochę na tę zbiórkę, za co komitetowi krzywo na mnie patrzyli. Zaczęliśmy zbierać od plebanii, gdzie miejscowy proboszcz, gorący patrjota hojnie sypnął groszem, przykazując nam pójść do kościoła i pomodlić się na intencję tworzącego się wojska polskiego.

I bez tego nakazu, ale z potrzeby serca wstąpiliśmy do kościółka, tam pogrążone w modlitwie, zapuchnięte od płaczu kobiety, których mężowie licho wie za czyją sprawę musieli iść wojować.

Po wyjściu z kościoła, uradziliśmy wstępować do domów tylko grubszych gospodarzy, omijać domy biedniejszych, a zwłaszcza tych, którzy poszli na wojnę. Z domów wiał jakiś smutek, a mimo to kobiety bardzo ochotnie wysupływały z węzełków srebrne a nawet złote pienią-

---

nia, bractwa i t. p., gdzie się mówi że zabieranie komuś jego własności to grzech śmiertelny, zbrodnia i komunizm.

Nie było to jednak grzechem i zbrodnią wtedy, kiedy przed wiekami te samą ziemię księża i szlachta zabierali z rąk chłopskich (bez odszkodowania!!) i tworzyli folwarki. (Folwarki powstały w Polsce w XV i XVI wieku z części ziemi odebranej chłopom. Przed tym były w Polsce tylko gospodarstwa chłopskie, z których chłopi płacili szlachcie czynsz).

Rzecz jasna, że na obdzielenie wszystkich ziemią, tej ziemi nie starczy. W każdym razie szybkie i radykalne przeprowadzenie reformy rolnej (t. j. parcelacji, komasacji, osuszenie mokradeł i t. p.) wpłynie wybitnie na zmniejszenie nędzy chłopskiej, a tym samym na wzrost kultury społecznej, materialnej i duchowej chłopów; pozwoli chłopom wyjść na szersze wody życia społecznego, politycznego i t. p. słowem reforma rolna, obok oświaty, to jedna z najważniejszych spraw chłopskich której rozwiązanie jest warunkiem lepszej chłopskiej przyszłości.

dze, rzucając je do zamkniętej skrzyneczki, którą trzymał wójt.

W innych zaś domach, gdzie nie było pieniędzy, ludzie dawali po korcu, po pół lub po parę miarek jak kto mógł, pszenicy, którą zsypywaliśmy na jadące za nami wozy. Gdzieindziej dawano nam gęsi, kury, kaczki, choć z tem był już większy kłopot, ale trudno było taką szczerą ofiarą gardzić. Widziałam wielkie wzruszenie na twarzach komitetowych, ale nie mniejsze na tych którzy ów przysłowiowy „grosz wdowi" chętnie dawali, wierząc święcie, że tu idzie o bardzo wielką rzecz, której wprawdzie oni sami jakoś dobrze nie rozumieli, raczej bezwiednie wyczuwali, że idzie o wolną Ojczyznę! Gdy patrzałam na tę hojność serc chłopskich, kręciły mi się łzy w oczach, a ocierając je ukradkiem, mówiłam: „Bóg wam zapłać Matki Polki za ofiarę dla Polski". A wtedy Józkowa Mołyczyna, baba bardzo łakoma na czytanie książek, a w języku straśnie obrotna, jak mi też nie rąbnie: „Iiii, nie ma ta za co dziękować, tylko niechby już raz przecie ta Polska była sama sobą, a nie służyła odmieńcom psieściwom Moskalom, co to pewnie i w Boga nie wierzą, a naszych braci za Wisłą okrutnie męczą". Rozradowani idziemy raźno dalej, aż tu naraz opada nas spora gromada, potrząsających rękami kobiet, które narobiły takiego straszliwego jazgotu, żeśmy się nie na żarty przelękli i z trwogą rozglądać zaczęli, czy już gdzie Moskale nie przedarli się przez Wisłę do naszego Podlesia! Co się stało, cóż my? A najgłośniej wrzeszczy Wikta Mazurka, kobieta niezła, ale jaka brzydka, taka pazyrna, grozi mi pięścią pod samym nosem i zasapana woła: „A cóż wy se myślicie, to tylko do bogaców poszliście za zbiórką a nas chudobnych jak zaraze omijacie? A cóż my to jakie niedowiarki, żydy cy inse powsinogi? A cy nom to Polski nie trzeba tylko bogacom? A nase chłopy choć z Austrią posły ale tłuką Moskala, żeby mu raz już przecie tę Polskę odebrać!...

Pieniędzy nie mamy, bo my biedne, ale na Legiony dam zaraz półroczną jałóweczkę, przecie musi co-ik wartać, bo się jej Mosiek grzecznie przypatruje!" — A ja prośną świniczkę daję — uśmiecha się przymilnie Justyna Dubielka.—A ja, dwie miarki ziarna!... — A ja dwie nowiusieńkie koszule, com je Stachowi doniero uszyła, ale go wzięli — woła z płaczem Julka Menelka!... A ja to, a ja tamto dam — wołają wszystkie naraz, tak, że dosłyszeć trudno.

Dokuśtykał też do nas kulawy Jacek Rajca, co to pod kościołem w niedzielę siadywał i „Zdrowaśkami" zarobkował, i wtykając mi w rękę pieniądz, mamrotał dychawicznie: „A dyć i odemnie Rostonia nędznego weście to, może choć na packę tytoniu fajkowego dla jednego Legiona wystarcy!"....

Ale nie koniec jeszcze na tem. Bo kiedy po skończonej zbiórce wracaliśmy do wsi, dziwnie zamyśleni, zastąpiła nam drogę Hanusia Wronianka, sierota, bardzo robotna, gospodarująca na czterech morgach ze swym stareńkim dziaduniem powstańcem z 1863 roku. Dziewczyna urodna, o pięknych niebieskich oczach, zadyszana, skłoniwszy się starym zwyczajem obydwoma rękami, wyjąkała nieśmiało: „Wójcie! i ja też!... „Co nam powiesz Hanuś"? zapytałam, obejmując ramieniem serdeczną dziewczynę, moją dawną ulubioną uczennicę. Ja tu mam... ja tu mam... po nieboszce mojej matusi korale... piękne starodawne, jeszcze je moje prababki na wiano miewały... Chciałabym.... bo w domu nie ma nic innego... Ale nie mówcie nic nikomu o tem we wsi.... Niech to będzie jak ofiara samemu Bogu w kościele ucyniona... Chciałabym te korale po mojej matusi... oddać na polskie wojsko.... I wyjąwszy z zanadrza cztery sznurki ślicznych czerwonych, prawdziwych korali, oddała je drżącą, spracowaną ręką wójtowi Jakóbowi Bugajskiemu.

Hanusin zgarbiony dziaduś, siwiuteńki jak gołąbek, wsparty na lasce i rozdygotanym głosem mówił: „Syna nie mam, ja już nie mogę iść z Le-

---

MARIA KUCHROWA

Sieroca dola

Działo się to w roku 1916. Ojciec mój był na wojnie, mamusia mi umarli. I tak mając dwa i pół roku, zostałam bez rodziców, tymczasowo przy ciotce. Później wzięli mnie dziadek i u nich wychowywałam się do końca wojny.

Po wojnie powrócił ojciec i powiedział, że poszuka mi drugiej mamy. Obietnicy dotrzymał. Ale z chwilą przyjścia w nasz dom nowej mamy rozpoczęły się wszystkie smutki i cierpienia mojego dzieciństwa. Dopiero wtedy poznałam, że chociaż mam ojca, nikt mnie już do swego serca nie przytuli, nie pocieszy. Ponieważ często płakałam, zabolały mnie oczy. Sypiam w ciemnej i zadymionej izbie, bo ten dom był starodawny. W alkierzu paliło się w piecyku żelaznym, a rury były puszczone do tej izby, gdzie ja leżałam i stąd przez otwarte drzwi dym uchodził na strych. Dym ten gryzł mi oczy, że stawały się bardzo czerwone i piekące.

Latem chodziłam spać do stodoły i ze zdrowiem czułam się lepiej.

Wczesną wiosną wyganiałam na pole starą krasulę, wiano mojej nieboszczki mamusi.

Pewnego razu zanosiło się na deszcz, a mama kazali mi gnać krowę w pole. Ja mówię, że będzie deszcz, a oni ze złością „nic ci nie będzie, choć zmokniesz". Pognałam. A tu wichura, grzmoty, błyskawice, krowa także zrozumiała burzę, wyrwała się z moich słabych rąk i wróciła do domu. Biegnę za nią z płaczem, bo bałam się mamy, ale ona była bardziej krzepka niż ja. Po powrocie do domu mama mnie wykrzyczała, pocóżem przygnała, a ja mówię, że krowa się wyrwała i uciekła sama. „Bierz krowę i hajda na pole, chlać jakby ci co dobrego dali to byś zechlała, ale krowy paść to ci się nie chce. Próbuj mi tu zaraz przygnać jak deszcz trochę pokropi, ty gełdo, ty trąbo i chadrożu. Nie bój się, bo się ta przecież nie rozleziesz" — wymyślali.

Gonię więc z powrotem i płaczę, a krowa prowadzi mnie, bo i ona napewno zrozumiała, jaką krzywdę wyrządzają biednej sierocie. Wszyscy ludzie idą z pola i wołając „gdzie ty dziewczę gonisz widzisz taki deszcz, wróć się, bo zmokniesz". Ja z płaczem na to: „jakbym się wróciła, to dostanę od mamy paskiem". Pasę, a deszcz leje, strasznie się błyska. Skuliłam się za krową, żeby mi było cieplej i tak sobie myślę: „żebyś ty matko z grobu widziała, na jaką straszną nędzę zostało twoje dziecko skazane, jaką krzywdę wyrządzają mu ludzie, którzy zobowiązali się ciebie zastępować, nie zaznałabyś spokoju i zapłakałabyś się nad niedolą swojej sierotki". Bez odzienia, głodna, chora, niewyspana i zapomniana przez wszystkich, chwiejąc się od zimna niby liść osiki, modlę się do Boga o słoneczko, któreby mnie ogrzało i osuszyło.

Wieczorem wracam do domu. Mama wyszli mi naprzeciw i mówią: „w deszcz pasła a krowę głodną goni". Tłumaczę się, że nie było na czem napaść, bo trawa marna, a oni mi na to: „deszcz był, ludzi w polu nie było, to bodajgdzie by napas, tylko jakby ci się chciało".

Pasłam tak przez całe lato, a w jesieni poszłam do szkoły, do pierwszego oddziału. Chodziłam do szkoły tylko przez jesień zimą nie, bo nie miałam ubrania. Koło domu chodziłam w podartych ojcowych butach i pracowałam ciężko ponad swoje si-

gionami jak przedtem w 1863 roku do powstania — bom już nad grobem, ale niechże Polska ma dziś choć ten drobiazg od mojej wnusi.. Nawet nie wiem kiedy ucałowałam ze czcią rękę starego żołnierzą o wolność Polski. Zobaczyłam, że „komitetowym" chłopom spływały ciurkiem łzy po wąsach, a kobiety popłakiwały z cicha, ocierając zapaskami oczy. O sobie jako szpetnym mazga ju wolę nie mówić nic. Pochlipującą Hanusię tuliłam jak siostrę do siebie.

Dwadzieścia pięć lat mija kiedy rodziła się armia polska, a ludzie ze wsi Podlesia szli ku wolnej Polsce jak do cudownego miejsca odpustowego z radością, nadzieją i płomienną wiarą w duszach, że i oni dorzucają swoją cegiełkę pod budowę wielkiego wspólnego gmachu, któremu na imię: **Ojczyzna!**

Chłopi dawali, dają i zawsze dawać będą wszystko a nawet krew dla Polski a zwłaszcza dzisiaj jak zajdzie potrzeba, byle tylko Polska była dla nich sprawiedliwa i dobra matką, a nie złą macochą.



Przy pracy mal. L. Gottlieb

ły. Musiałam już bydło i świnie karmić, sieczkę rżnąć, buraki płukać itp. Wszystko to robiło się na podwórzu, choćby był nie wiem jaki mróz. Jak zmarzłam i szłam do kuchni się ogrzać, to mama zaraz krzyczeli: „po co przyszłaś? Nie wstyd ci mówić, że przy robocie zimno". To też później wolałam iść do stajni i przytulić się do starej krasuli, która mnie litościwie grzała swoim ciepłem.

Kiedy odrestaurował ojciec dom i tę czarną izbę, w której dotychczas sypiałam to już kazali mi sypiać na stajni. W pierwszą noc bardzo zmarzłam, więc odsunęłam siano i ległam sobie na powale, to mi było cieplej, bo od krów parowało.

Rano przyszli mama, zdarli zemnie poduszkę i mówią: „Maryna ruszaj do roboty". Wstałam prędko, bom miała kiepską koszulę, to mi było zimno. Ażeby się ogrzać, szłam do starej krasuli i tam się ubierałam. Potem sprzątałam w kuchni, paliłam w piecu, nastawiałam wodę. Jak już wszystko było gotowe, szłam budzić mamę. Mama wtedy brali się do śniadania, mnie zaś dawali garniec żyta i kazali mleć w żarnach. Do śniadania musiało już być zmielone.

I tak spędzałam całą zimę, a na wiosnę znowu szłam do szkoły. Chodziłam wszystkiego do szkoły przez trzy roki i tylko w lecie. W trzecim roku miałam przystąpić do pierwszej Komunii Św. Wszystkie dzieci radowały się tą drogą chwilą i ja z nimi też. Przychodzę ze szkoły ucieszona i mówię, do mamy, żeby mi kupili na tę uroczystą chwilę sukienkę białą. Mama ofrykli mnie na to i kazali sobie gdzieś pożyczyć. Rozpłakałam się z żalu i tak sobie myślę, gdzie ja tej sukienki wypożyczę? Spomniałam se, że mają taką sukienkę żydówki i poszłam do nich prosić. Bez słowa wyciągnęli z szafy suknie i dając mi zapytali, czy może jeszcze i mesztów mi trzeba, to też mogę dostać. Gdy przyszłam z tym do domu, mama ani się nie spytali, skąd ja to mam.

A gdy chodziłam do szkoły, to nigdy nie dali mi czasu na naukę. Dopiero w nocy, jak wszyscy poszli spać, ja pokryjomu wstawałam, zapalałam kaganek i szłam do chlewa zadaną lekcję napisać. Gdy nie raz usłyszeli, że ja palę światło, to wykrzyczeli mnie i kaganek gasili, a ja z płaczem zostałam w chlewie. Do szkoły na nic nie dostałam grosza, tylko się dzieci na mnie składały. Jak poszłam do tatusia prosić o pieniądze na zeszyt, to mi powiedział „idź do mamy", a gdy poszłam do mamy, to mówili „skąd ci wezmę, idź do taty", i tak w kółko.

A jak przyszła niedziela tom cały dzień przesiedziała w chlewie, bom zmiarkowała że mama bardzo źli byli, jakem siedziała w kuchni.

Jak się gnój na wiosnę woziło, tom szła nakładać. Mama stali na brzegu, a ja z gnojówki wyciągałam i rzucałam mamie. Na nogach miałam ropiejące wrzody, których nikt mi nie leczył, a w tej gnojówce zanieczyszczałam je jeszcze więcej, co bardzo bolało, że nieraz strasznie płakałam. Z powodu brudu miałyśmy obydwie z siostrą wszy, więc kładąc się spać, chwilę ona mnie drapała, chwilę ja ją, póki nie zasnęłyśmy. We włosach aż się roiło, bo nie miał nas kto wyczesać.

W gospodarstwie i w domu rządziła mama, ojciec nie miał nic do powiedzenia i ulegał im we wszystkiem. Nie raz widział naszą krzywdę, ale nie umiał nas wziąć w obronę. Jednego razu zachorowałam. Mama mnie zbywali czym mogli. Żeby mi dać kapkę mleka tatuś czyhali na tę chwi-

JAN WIKTOR

Bohaterstwo kobiet polskich na Śląsku Opolskim

W Ilustrowanym Kurierze Codziennym z dnia 13 sierpnia ukazał się artykuł JANA WIKTORA o strasznych prześladowaniach i niedoli Polaków w Niemczech na Śląsku Opolskim. Niżej podajemy przedrukowany wyjątek z tego artykułu.

Red.

Niema dnia, aby ze Śląska Opolskiego nie nadeszły grozą wstrząsające wieści o rozpaczliwem położeniu ludności, wobec której dopuszcza się bezkarnie gwałtów. Przez pocztę nie przejdzie żaden list, gdyż każde słowo jest cenzurowane, czasem tylko ktoś przekradnie się przez granicę i wyjęczy, wypłacze o tem co się tam dzieje.

— Już nie można dłużej żyć. Czy nie doczekamy kresu swej niedoli. Za co tak cierpimy? Nie mamy chwili spokoju, wciąż rewizje, wciąż napaści, nie można nam słowa po polsku wyrzec. Nie możemy gęby otworzyć, bo nad nami pałki, bagnety i granaty, śmierć za nami chodzi.

Każda wieść dochodząca ze Śląska Opolskiego wstrząsa duszą narodu, każda wieść odbija się najboleśniejszem echem w każdej chacie, nikt też bez łez w oczach nie mógł słuchać szczegółów **męczeństwa chorej staruszki Marji Kijowskiej z Czechowic.** Postać tej niezwykłej niewiasty urasta do rozmiarów bohaterstwa za sprawę polską. Zawsze była twarda i niezłomna, zawsze otwarcie przyznawała się do polskości mimo prześladowań. Służyła wiernie braciom, niosła im dobrą wieść, a dzieci uczyła pacierza polskiego.

W ostatnich dniach przed spisem ludności uświadamiała sąsiadów, że należy podawać mowę polską, jako mowę ojczystą, rozdawała ulotki wydane za zezwoleniem niemieckich władz. **„Jesteśmy Polakami, wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci“** — głosiła wszędzie. Upadających podpierała, w słabych rozniecała odwagę.

Wrogowie chcieli zgasić to ognisko płonące miłością. Duch w niej był silny. Jednego dnia poszła do kaplicy, aby przed ołtarzem zaczerpnąć otuchy i mocy do walki. Pogrążona w modlitwie nic nie wiedziała, że **nauczyciele niemieccy i gminny pisarz buntują wieś przeciw niej,** aby zniweczyć jej działanie. Rozwścieczona tłuszcza pociągnęła pod kaplicę, kilku zuchwalców wywlekło steraną kobietę stamtąd i słaniającą się bez sił oskarżono o zbrodnię zdrady państwa niemieckiego za to, że rozdaje ulotki o spisie ludności. Później poprowadzono ją ulicami wśród krzyków wyzwisk, przekleństw, brył błota i śliny. Upadała ze zmęczenia, więc ją szarpano.

— Ty stara czarownico, **raus nach Polen,** kopano i zmuszano do pośpiechu.

— Ogniem cię będziemy piętnowali, boś zdrajcą państwa niemieckiego.

— **Polnische Schweine raus hinter die weichsel — deutsches Brot frisst sie** — a nauczyciel Sappich wołał:

---

lę, kiedy mama wyszli z izby „wypij jeno prędko, żeby mama nie nadeszła, bo by narobiła kłopotu“ — mówili.

Ja piłam i płakałam, że tatuś mamy muszą się bać. Więcej troski okazywali ojciec dla dzieci z drugiego małżeństwa. Te miały wszystko, co im potrzeba, porządne ubrania, inne na zimę, inne na lato. Lepiej jadły. Chodziły do szkoły po siedem lat, a potem oddali je do warstatu, żeby im zapewnić przyszłość.

Ja zaś kiedy skończyłam 10 lat, musiałam już iść na służbę i sama zapracować na siebie. Na tej służbie przebyłam jedenaście lat. Napotykałam ludzi różnych, dobrych i złych.

Na pierwszej służbie było mi dużo lepiej, niż w domu. Jadłam razem ze wszystkimi, sypiałam w ciepłej izbie, ale choć pracowałam ciężko jak na swoje 10 lat, czułam się szczęśliwa. Najgorzej dokuczała mi zima, bo miałam tylko jedną sukienkę i jedną potarganą poszulę, bo tak mnie z domu wyprawili. Zanim minął rok tom bez sukienki i bez koszuli chodziła okrywał mnie tylko szlafrok bez rękawów który mi gospodyni kupili. Prałam go wieczorem, do rana sechł, a ja spałam na golasa. Dopiero kiedy skończył się rok służby za zarobione pieniądze się przyodziałam. Po żniwach gospodarz brali mnie ze sobą do młocki, ale nie maszyną tylko cepami. I tak młóciłam do samych gód. Po tej młocce chorowałam, bo miałam na sobie pełno wrzodów. Nikt nie zważał na to, że mam dopiero 10 lat, że jestem słaba i niedożywiana, musiałam robić ponad swoje dziecięce siły. Po roku, mając już 11 lat, poszłam w drugie miejsce służyć. Pracować musiałam i tu bardzo ciężko tak, że nieraz zalewałam się łzami, ale nauczyłam się tutaj porządku, sama chodziłam w czystej bieliźnie, wypranej i wyprasowanej, spałam w czystym wygodnym łóżku. Weszłam w inny świat. W sobotę, kiedy gospodyni myła swoje dzieci, kazała się i mnie wymyć i wyczesać. I tak byłam u tych ludzi dwa lata.

Na 4-ty rok zachciało mi się iść na służbę na plebanię. Ale nie wybyłam tu długo. Płacono 180 zł. na rok, harowało się do późnej nocy, a żywiono nas bardzo kiepsko. Czułam, że słabnę i nie mogę pracować. Ziemniaki ledwo okraszone chleb z serem z superaty (mleka odciąganego), na obiad te same ziemniaki, czasem, ale b rzadko, kluski, na wieczerzę ziemniaki i pół litra pełnego mleka na tydzień, masła nigdy. Nie mogłyśmy tego wytrzymać. Moja współpracownica bardzo często poprostu ukradła kawał masła, częstowała i mnie, ale mnie nie chciało przejść przez gardło to masło. Płakałam, że na plebanii głód zmuszał do kradzieży. Nic nie mówiąc pewnego ranka zabrałam swoje manatki i odeszłam. Na drugi dzień ksiądz wysłał jedną z gospodyń do mnie, żebym oddała kolędę, a kolędy dostałam 5 zł. Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć. Mówię „narazie 5 zł. przy sobie nie mam, ale przez te 3 tygodnie więcej zarobiłam... Niech ksiądz policzy, bo jeszcze napewno mnie się należy, nie jemu. A gdy już nie może odżałować tych 5 zł. to na przyszły tydzień mogę oddać“.

Później poszłam na służbę, na której przebyłam 7 lat. Zawsze myślałam, że w niebie mi lepiej nie będzie jak teraz. Z tego domu miałam wyjść zamąż. Poszłam z prośbą do mamy, żeby mi sprawili wesele, a oni mówią, że ta i bez wesela będzie, ja se spódnicy nie mam za co kupić, a będę wesela sprawiać“.

— Masz szczęście, że jesteś kobietą, w przeciwnym razie żywcem byśmy cię zakopali w ziemi.

Umęczona kobieta **zaciskała w ręce różaniec i polską książeczkę** do modlenia, niemi jak tarczą zasłaniała się przed obelgami, ciosami i wciąż niezłomnie powtarzała:

— Z woli Boga **jestem Polka** i tego waszą ziemską mocą mi nie odbierzecie, ani nie zabronicie.

Kiedy padały bryły żegnała się krzyżem, jak każdy górnik rozpoczynający szychtę.

— **Wiarę ojców** i mowę zachowam i dla nich gotowa jestem zginąć.

— Polskości błotem nie zakryjecie, śliną nie zagasicie.

Krew wybroczona z ran przez was zadanych jeszcze bardziej ją rozpali — mówił świadek tych zdarzeń — Kijowska, jest ubogą, a mimo niedostatki posiada złote serce polskie i ofiarne, co nie zna granic w pracy dla polskości i za to, że dla swej ukochanej Polski przejść musiała ogrom upokorzenia lud polski hołd jej składa.

Ta kobieta **nie upadła**, nie zaparła się swych świętości, pozostała twarda i niezłomna, zbita i opluta znów szła od chaty do chaty, aby uświadamiać pouczać. Poranionemi ustami szeptała:

— **Polakami jesteśmy**, tutaj polską ziemia i w walce o nią wytrwamy. Kijowska jest symbolem tego ludu walczącego o prawo do mowy i wiary ojców. Bardzo ciężkie chwile przeżywają Polacy w Niemczech. Ktokolwiek przyznaje się do polskości kto uczestniczy w nabożeństwach ten jest wysiedlony z ziemi, wyrzucany z rodzinnej wsi. Przemoc niemiecka chce podeptać ostatnie słowo, chce zmiażdżyć ostatni puls serca bijącego odwieczna prawda.

— Jesteśmy **P o l a k a m i**.

*) Precz do Polski
**) Polskie świnie precz za Wisłę — niemiecki chleb żrą.

Redakcja zawiadamia, że Nr 1 i 2 „KOBIETY WIEJSKIEJ" został wyczerpany

Narzeczony więc sprawił mi wesele u siebie, tylko do ślubu wyjeżdżałam od ojca. Teraz już pracuję na swojej gospodarce, i byłoby mi dobrze, tylko na służbach zdrowie się wyczerpało i na swoim pracować już nie mogę. Mam czworo dzieci bez delikatnego zdrowia. Mąż tylko trzyma się dobrze i zawsze mi mówi, że ze mną się ta nie dorobi.

Tyle to sierota na świecie użyła.

WŁADYSŁAW CIEKOT

Więcej mięsa

Wiele przyczyn składa się na dzisiejsze upośledzenie wsi, a jedna z nich bardzo ważna jest niedostateczne i wadliwe odżywianie. To niedojadanie trwa u chłopów całe pokolenia od czasów pańszczyźnianych aż po dzień dzisiejszy. Ks. Stanisław Staszic, opisując życie pańszczyźnianego chłopa — mówi — że mieszka on w kurnych norach, na przednówku odżywia się zielskiem i mieloną korą z drzew, za rozrywkę ma karczmę, w której musi zatruwać się gorzałką z gorzelni swego pana. Panowie szlachta zaś budowała w tym czasie pałace i trwoniła majątki na hulankach. Jeszcze dziś opowiadają starzy o owych długotrwałych postach, kiedy to jedynym pożywieniem były ziemniaki, barszcz i niezawsze gliniasty razowiec, kiedy na przednówku ludzie puchli z głodu, a dzieci padały jak muchy.

I dziś ciągle jeszcze chłopi w Polsce nie dojadają, a w dodatku pożywienie ich jest jakościowo nie wystarczające. Dość popatrzyć na dzieci, których wygląd i wzrost wskazują na niższy wiek niż mają w rzeczywistości. Skóra pokrywa sterczące gnaty żeber i wystający, rozepchany razowcem i ziemniakami — brzuch.

Młode, dwudziestoparoletnie kobiety po urodzeniu kilkorga dzieci, nie mają połowy zdrowych zębów, większość z nich cierpi na różnorakie dolegliwości i wygląda dużo starzej ponad swój wiek. Ponieważ w czasie ciąży nie odżywiają się należycie, brak im później dostatecznej ilości pokarmu, a urodzone dziecko jest słabowite, łatwo zapada na krzywicę lub inną chorobę i często ginie przedwcześnie.

Młodzież, dorośli w sile wieku, są przeważnie ociężali, bierni, myślą o woli, przeważają mała przedsiębiorczość, brak im siły życiowej i rozmachu.

Nauka już dawno stwierdziła, że takie **stałe niedożywianie przez długie pokolenia powstrzymuje rozwój fizyczny i umysłowy.** Zmniejsza odporność na choroby, zwłaszcza gruźlicę. U zmarłych z wycieńczenia głodowego stwierdzono brak podściółki tłuszczowej, która u każdego w mniejszym lub większym stopniu powinna się znajdować. Ponadto wszystkie narządy wewnętrzne ważne dla życia są jakby pomniejszone i niedorozwinięte. **Nawet mózg wykazuje niższą wagę od przeciętnej.**

Niewielu ludzi na wsi ma wysoki wzrost. Pochodzi to stąd, że kości człowieka niedostatecznie odżywianego i przedwcześnie obciążonego pracą prędko przestają rosnąć wzdłuż. Wytwarza się powoli na wsi typ człowieka niskiego, krępego niezgrabnego, podobnego do chińczyka lub japończyka, którego pożywienie składa się wyłącznie z ryżu i warzyw. W ostatnich czasach zaczęto w Japonii propagować większe spożycie mięsa i oto — jak komisje poborowe stwierdzają — przeciętny wzrost rekrutów stopniowo się podnosi.

Sięgnijmy po przykłady do świata zwierząt. Przypatrzmy się zwierzętom roślinożernym, jakie są nieruchowe i mało inteligentne. Największa i najważniejsza część ich ciała stanowi brzuch, który musi przetrawiać ogromne ilości mało pożywnej karmy. Także różnią się od nich zwierzęta które odżywiają się pokarmami mieszanymi lub mięsem, a więc psy koty, wilki i różne drapieżniki. Uderza ruchliwość, smukłość a jednocześnie wielka siła i zręczność ich ciała, odwaga i spryt.

Kiedyś spotkałem w Gdyni wycieczkę Anglików. Jaka postawa pewność siebie, wzrost prawie 2 metry. Na wszystko spoglądali ze swej wysokości, jak urodzeni władcy świata. Ale gdy przeciętny Polak zjada rocznie 18 kg mięsa, to Anglik 66 kg. My 3 kg tłuszczu — oni 46 kg. My 94 litry mleka — oni 280, ale za to Polak zjada 932 kilo ziemniaków podczas gdy Anglik tylko 117 kg. Czy to nie wystarczy?

Ziemniaki są niejako miernikiem dobrobytu społeczeństwa. Kraje zamożne spożywają ziemniaków mało natomiast więcej produktów białkowych i tłuszczów, a więc mleka masła jaj i mięsa.

U nas zaś podstawą odżywiania wielu dziesiątków i setek tysięcy rodzin chłopskich stanowią — ziemniaki. Przeładowujemy swoje żołądki pokarmem lichym, zajmującym dużo miejsca rozpychającym, zawierającym mało wartościowych składników. Aby te zapasy dobrze strawić krew odpływa z mózgu do jamy brzusznej, co pociąga za sobą rozle-

ROZALIA GÓRECKA

Zakładajmy bursy dla młodzieży

Zbliża się nowy rok szkolny, a z nim nowe kłopoty dla rodziców. Dziecko nasze ukończyło już szkołę powszechną, jest zdolne i bardzo pragnie uczyć się dalej. I mybyśmy chcieli, tembardziej, że tymi paru morgami pola jest jeszcze kogo dzielić, ale cóż kiedy wyższych szkół jak powszechna, na wsi nie ma, trzeba aż do miasta. Janek się już dowiadywał o te szkoły, przyznał się, że nawet egzamin wstępny zdał do gimnazjum i to z wynikiem bardzo dobrym. Teraz już wrzesień blisko i dziecko ani spać, ani jeść nie może z tego zmartwienia czy się go do tej szkoły pośle. Ze wsi kilkoro tego roku na naukę do miasta się wybiera. Co prawda opłata w szkołach nie jest taka wysoka, bo to są szkoły państwowe, a jak się dziecko dobrze uczy, to i zniżkę może dostać najgorsza ta stancja. Gdzie Janka umieścić, skąd wziąć te 50 a nawet 60 zł. miesięcznie, głowa pęka z tego zmartwienia, bo tu i dziecka przecie szkoda.

Wiele matek i ojców przeżywa co roku taką troskę.

Są po miastach bursy prywatne i gdyby były pieniądze.... gdyby były, ale cóż kiedy z groszem skąpo.

Szukamy więc po mieście jakiejś rodziny, któraby odstąpiła za niewielką opłatą kąt w swoim domu. Zależy nam, aby urządzić się jaknaj taniej, to i wymagań dużych stawiać nie możemy. Łóżko, trochę miejsca na odrabianie lekcyj. Że parę osób tłoczy się w tej izbie, że ciasno, mało światła i duszno, na to nie ma rady.

Nie zawsze zastanawiamy się jaki będzie wpływ tej rodziny na życie duchowe i charakter naszego dziecka. A przecież w tym domu dziecko moje przebywać będzie większą część roku przez parę lat, z konieczności więc będzie on na wychowanie dziecka oddziaływał. I dla nas nie może być obojętne jakie będzie to oddziaływanie.

Jeżeli to będzie rodzina mało kulturalna, gdzie gardza wsią, chłopem uważając się za ulepionych z lepszej gliny, (a takie rodziny spotyka się bardzo często), gdzie cenią tylko pieniądz i wyznają sobkowską zasadę „aby mnie było dobrze" — to należy się obawiać, że i nasze dziecko tymi poglądami może nasiaknąć.

W takim środowisku wyrośnie człowiek nieużyty, niespołeczny, który za jedyny cel w swoim życiu stawia „dorobić się". Wsią gardzi, wstydzi się swego pochodzenia ojca—chłopa i matki—chłopki. A takimi przecież nie chcemy widzieć naszej córki czy syna.

Młodzież wiejska w mieście wymaga szczególnie troskliwej i serdecznej opieki. Znalazłszy się w nowym i obcym sobie środowisku, czuje się onieśmielona i jakże często — upokorzona. Koledzy z miasta rozmaite wymuskane maminsynki, których nie nauczono poszanowania drugiego człowieka, podchwytują w mig wszystkie śmieszności nowego towarzysza, jego niezbyt zgrabny strój, chłopską gwarę, sposób bycia itp. i z młodzieńczą złośliwością zaczynają go obśmiewać.

Nieraz też gorzkie łzy dławią naszego syna. Czasem buntuje się i jeśli ma mocne pięści nauczy rychło swoich przeciwników rozumu i potem ma już spokój.

Nieraz też wybuchają między chłopcami ostre bójki, w które muszą się wtrącać władze szkolne.

Znalazłszy się w takich warunkach dziecko nasze czuje się samotne, nie ma wokół nikogo, ktoby mu podał rękę życzliwą, ktoby go pokrzepił dodał otuchy, czuje się źle i nieraz zwłaszcza w początkach póki się nie przyzwyczai, uzyskuje gorsze stopnie w nauce. Nie znajdzie oparcia w szkole, bo stosunek szkoły do wsi jest obojętny, a bywa że i niechetny. Szkoła nie mówi naszemu dziecku o wartościach wsi nie budzi w nim dumy, że z tej wsi pochodzi.

Nie znajdzie też oparcia w mieszczańskiej rodzinie. Nic dziwnego, że wytwarza się w nim poczucie niższości i upośledzenia, które prześladować go będzi przez całe życie.

Wieś musi bronić swoja młodzież przed ujemnymi wpływami miasta, musi troskliwie zająć się jej wychowaniem, jeśli chce mieć swoja chłopską inteligencję, która się wsi nie zaprze.

I dlatego nietylko ze względów materialnych ale i wychowawczych konieczne jest tworzenie w miastach burs wiejskich dla naszych dzieci. Musimy stworzyć naszemu dziecku serdeczny, miły dom w mieście, gdzie znajdzie towarzyszy, którzy będą mu braćmi, którzy go zrozumieją wesprą w ciężkich chwilach i obronią w razie potrzeby.

Jak to zrobić?

Ano zacznijmy obradzać. Różnie w różnych warunkach będziemy organizować.

Najpierw trzeba się zorientować ile młodzieży wiejskiej uczęszcza do szkół w danym mieście.

Kiedy zgłosi się dostateczna ilość trzeba robić kalkulacje. Wyszukać odpowiednie mieszkanie, w którym powinna być kuchnia, spiżarka, piwnicą, świetlica, która może służyć równocześnie za jadalnię, łazienka i pokoje sypialne.

W miasteczku powiatowym czasem można wynająć na taki cel cały dom z ogrodem. Trzeba pomyśleć o wyposażeniub bursy w sprzęty i naczynia (część mogą dostarczyć rodzice), znaleść gospodynię, ktoś musi objąć wychowawstwo w bursie.

---

niwienie, brak energii, zanik inteligencji i tępotę umysłową.

Ilość spożywanych tłuszczów jest katastrofalnie niska, stanowi zaledwie jedną dziesiątą część tego co należy uważać za normę. Spożycie mięsa w Polsce jest najniższe, jedynie Bułgaria zdaje się spożywać jeszcze mniej. (Np. Niemcy spożywają 48 — 52 kg).

Jeśli tak dłużej potrwa grozi nam skarlenie i zwyrodnienie. Przez stałe głodowanie marnuje się największe bogactwo narodu — człowiek, którym powinien być zdrowy, o umyśle jasnym i twórczym, zdolny do pracy — obywatel.

W interesie nietylko chłopów ale i całego narodu leży uczynić wszystko, aby wieś przestała wreszcie głodować i niedojadać.

Najtrudniejsza sprawa z tym wychowawstwem. Czasem znajdzie się jakiś nauczyciel pochodzący ze wsi, który uczy w mieście, za mieszkanie i utrzymanie zgodziłby się objąć opiekę nad bursą. Może znajdziemy kogoś z bezrobotnej inteligencji wiejskiej, itp. Ważne jest, aby to był ktoś serdecznie ze wsią związany, uspołeczniony, ktoby umiał zorganizować życie kulturalne w takiej bursie, ktoby budził w młodzieży miłość do wsi i szacunek dla kulturalnych wartości chłopskich. Młodzież zorganizowana w samorządzie pomogła by w gospodarce bursowej, a gospodyni znajdziemy wśród naszych dziewcząt bez trudności.

Opłaty mogłyby być częściowo w naturaliach, częściowo w gotówce. W takiej bursie młodzież miałaby nie tylko dobre odżywianie, warunki do pracy, ale i odpowiednią opiekę. Możnaby pomyśleć o pomocy dla młodzieży biednej a zdolnej, któraby wzamian pomogła innym w nauce i t. p.

Bursy wiejskie powinny być zorganizowane w każdym mieście, gdzie kształci się nasza młodzież. Jest to w interesie nietylko poszczególnych rodzin, ale całej wsi. Organizacje wiejskie, a szczególnie organizacje kobiece, mają tu wielkie pole do działania. Te organizacje, które już dają doświadczenie na tym polu, niechaj dzielą się nimi na łamach prasy wiejskiej, aby zachęcić innych.

— oOo —

STEFA SZYLLARÓWNA

Mój dzieciniec na wycieczce

W lipcowym numerze „Kobiety Wiejskiej" ob. H. Ciekotowa poruszyła bardzo ważną sprawę, która powinna stać się przedmiotem szerokiej, poważnej dyskusji, w naszym piśmie.

Po co organizujemy dziecińce i jak powinna wyglądać praca w naszym dziecińcu — oto pytania, które musimy głęboko przemyśleć. powiedzieć o wycieczkach dzieci z mojego dziecińca.

Czy warto o tym pisać, a cóż takie maleństwo wie, gdzie mu tam po wycieczkach chodzić? — zauważy może niejedna z Czytelniczek. Bardzo często przecież rodzice oburzają się na nauczycieli w szkole, że dzieci wyciągają na wycieczki, a co tu mówić o takich szkrabach, których Chcą zrobić cegłę na budowę domku dla lalek, a ponieważ suchy piasek nie mógł utrzymać nadanej mu formy, praca była bezskuteczna. Wreszcie Józio proponuje Jasiowi „polejmy piasek wodą". Ale i to miało tylko skutek chwilowy, bo po wyschnięciu cegiełki rozsypywały się po dawnemu. Wreszcie widząc beznadziejność swojej roboty przyszły



Ci sobie używają... Fot. I. Solarz

Każda zabawa, wycieczka, bajka, czy piosenka — pisze ob. Ciekotowa — „budzi uczucia w naszym dziecku złe lub dobre, więc wychowuje, rzeźbi głęboki ślad w małej duszyczce. Dlatego nie może być bylejaka, nieprzemyślana". Ja chciałabym podzielić się z Czytelniczkami swoimi doświadczeniami z pracy i o przecie nikt w domu nie traktuje poważnie. Aby się przekonać co dzieci o tem myślą — proszę przypatrzyć się mojemu dziecińcowi na wycieczce.

Pewnego dnia zaobserwowałam u dzieci taką zabawę:

Dzieci pochłonięte są nasypywaniem piasku do pudełek od zapałek. dzieci po radę do mnie. Ja im tłomaczę, że cegłę robi się z gliny, a potem wypala się w ogromnych piecach lub suszy na słonku, żeby była twarda.

I dzieci zapragnęły koniecznie zobaczyć jak się taką prawdziwą cegłę robi. Ponieważ cegielnia jest blisko,

nie miałam trudności, ażeby spełnić tę prośbę.

Idziemy więc do cegielni. I tu w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy od czego zacząć, tyle naraz posypało się pytań. Robota w cegielni była w całej pełni i dzieci zobaczyły od razu wiele ciekawych rzeczy. Jedni robotnicy wozili glinę, drudzy miesili, inni wrzucali ją do form i z tych form wychodziła równiutka cegła.
I to właśnie dzieci zaciekawiło najbardziej.

Oglądają formy, dotykają cegły jaka twarda czy miękka?, nawet kilka cegieł popsuły, ale nam to wybaczyli. Później pokazano nam piec i właściciel cegielni wszystko tłómaczył jak się cegłę robi, wypala itp. a dzieci zasypują go pytaniami i dziwią się, że może być taki ogromny piec. A mała Cesia robi uwagę: „a ja myślałam, że to taki duży piec jak u nas w domu co mama chleb piecze, ale w tym piecu toby chleba napiekł!"

Po powrocie do dziecińca dzieci już nie próbowały więcej robić cegłe z piasku czy z błota, tylko z gliny, a słońce im zastąpiło piec.

W taki sposób oto dzieci zrobiły wielkie odkrycie.... wzbogaciły się nowym doświadczeniem i zdobyły nowe wiadomości.

Innym razem wybraliśmy się zobaczyć gniazdo bocianie. Wielkie ptaki kołowały nad gniazdem, gdzie siedziały ich małe z wyciągniętymi szyjami i czekały rychło im wpadnie do dzióbka jakiś przysmak przyniesiony przez kochającą mamusię.

A potem, potem posypały się pytania: „Stefciu, a co one jedzą Stefciu a czemu to zimą boćków nie ma" i t. p.

Kiedyś znów złapaliśmy w potoku parę rybek. Cóż to była za uciecha. Dzieci nie mogą się swoim rybkom napatrzeć. Kopią dla nich dół na dżdżownice. Trzeba znów opowiadać i opowiadać, bo nigdy ta ciekawość dziecińska nie ma dosyć.

A kiedyśmy się już rybkami dość nacieszyli wrzuciliśmy je z powrotem do rzeki. I teraz ile razy idziemy nad potokiem, zawsze dzieci pytają: „Czy te rybki nasze żyją?"

Chodzimy oglądać małe pieski, kotki, prosięta, kurczęta, gąski na wodzie, jagniątka, źróbka u Stasia a u Marysi młode cielątko. Czasem jakaś dobra Mamusia zaprosi nas na agrest, porzeczki czy jabłka, a wtedy jest używanie i radość.

Kochanej Mamusi w podziękowaniu odwdzięczymy się wierszykami i piosenką.

Jednego razu powiedziała nam Zosia, że ma zmartwienie, bo zachorowała jej babcia i prosiła nas wszystkich żebyśmy poszli babusię odwiedzić. Zaraz Stasia, Terenia, Zdzisiunio i inni pobiegli uzbierać kwiatków dla babci no i poszliśmy. I zobaczyły dzieci chorą babcię i bardzo się zasmuciły. A babcia się ucieszyła i prosiła nas o piosenki. I żeby babcię rozweselić zaczęły dzieci wyśpiewywać co ino umiały, o kurkach o zajączku, o piesku itp. aż babcia poweselała a Józio mówił, że już jej lepiej. I teraz jak tylko zachoruje czy któreś z dzieci, czy czyjaś mamusia, zaraz musimy iść odwiedzić, zanieść kwiatów, zaśpiewać piosenkę, bo dzieci wierzą, że chory prędzej ozdrowieje.

Dzieci bardzo lubią przyglądać się jak pracują dorośli. Chodzimy więc do kowala, do stolarza, to do młyna, do krawca, do szewca, na pole do żniwa, do koszenia itd... poznajemy narzędzia pracy, uczymy się szanować i cenić pracę ludzką. Potem w dziecińcu dzieci rysują, malują lepią z gliny to co widziały.

Starałam się dzieciom nie narzucać ze swoją inicjatywą, bo najwięcej korzyści daje dziecku wycieczka, jeśli wypływa z jego zainteresowań. Starałam się zaobserwować co dzieci najbardziej interesuje, o czem mówią, z czem sobie nie mogą poradzić.

Opowiadała mi koleżanka, że ona radziła sobie w ten sposób, że zadawała dzieciom takie pytanie: „powiedzcie co byście chciały się dowiedzieć?" — i dzieci mówiły: a to „jak się robi koszule, koła do wozu, krzesełka itp. — a padały i takie kłopotliwe pytania: „a jak daleko Milciu do słoneczka". albo „ile drabin trzeba ustawić, żeby się dostać do nieba".... I potem starała się pomóc małym głowinom na te dręczące ich pytania odpowiedzieć. Chodziła z dziećmi do tkacza, stolarza, kołodzieja i t. p.

Wycieczka może spełnić ważną rolę w rozwoju umysłowym dziecka. Ona nie tylko bawi i urozmaica życie ale i kształci. Dzieci poznają swoje otoczenie, pracę ludzi, piękny i bogaty świat przyrody. Trzeba umieć tylko uczynić wycieczkę ciekawą nie chodzić z dziećmi ciągle tylko w to samo miejsce, a utrzymać dziecko w ciągłym zainteresowaniu.

Tylko wtedy wycieczki spełnią swój cel wychowawczy.

Wycieczki, jak widzimy, nie tylko rozwijają i wzbogacają umysł dziecka, ale budzą w małym serduszku szlachetne uczucia, dostarczają głębokich i pięknych wzruszeń, przeżyć, czynią dziecko wrażliwym na cudze cierpienie, uczą je kochać cały otaczający nas świat ptaków, kwiatów, zwierząt i ludzi.



Słoneczniki Fot. I. Solarz



Chwyciła matka żelazny garnek z komina, wielki o dwu uchach żeleźniak, w którym bulgotała woda i wylała wrzątek do cebrzyka.

Zakasała rękawy i zabrała się do prania Maciusiowego ubrania.

Pierze porteczki, te barchanowe w zielone kropki i kurteczkę w czerwone paski i koszulkę, taką ze świecącym guzikiem pod brodą.

Wszystko to na jutrzejszy jarmark w Biedoklepce.

Maciuś w starej koszulinie na progu siedzi, matczynej robocie się przygląda i wciąż pyta, jak to będzie na tym jarmarku.

— A piszczałecki hań bedom ?

— Będą, synusiu, będą; coby nie miały być.

— A gliniane kuroski hań bedom ?

— Przecie, będą.

— A kupita mi cosik?

— Kupię ci, synusiu, kupię.

— A co?

— Cacko z dziurką ci kupię.

— Laboga, reta! Cacko z dziurką!

Wstążeczki

Oj, sprzedała gospodyni gąseczki.
Oj, kupiła tej pasterce wstążeczki.
Na jarmarku, na straganie,
Oj, wstażecki, oj, nie tanie!
A ta jedna była lśniąca jak złoto,
Boś te gąski pasła, Maryś z ochotą.
A ta druga była krasna jak zorze,
Boś tych gąsek nie puszczała we zboże
A ta trzecia była modra jak głębia
Boś te gąski strzegła oj, od jastrzębia.

J. Porazińska

Maciuś w kominie

Maciuś wytrzeszcza na matkę rozradowane oczy.

— A będzie to piskało?

— Hale przecie! Dmuchniesz w dziurkę — to ci piśnie.

Wyjęła matka kurtkę z cebrzyka, wypłukała ją w zimnej wodzie, wyrzęła, roztrzepała i powiada do chłopaka:

— Leć-że i powieś to na słońcu, to wartko przeschnie!

Maciuś, złapał mokrą kurtkę i wyskoczył za próg.

— Ale aby na słońcu!—krzyknęła za nim matka.

Wypadł Maciuś przed chatę. Rozgląda się w koło, popatruje w górę.

Słońce akuratnie, pewnie po po tej rosochatej jabłonce, co za chatą rośnie, wylazło na dach i siadło sobie na kalenicy.

Maciuś, niewiele myśląc, hyc! na drabinę i na czworokach na dach lezie.

Trudno mu sobie z kurtką poradzić—to ją pod pachę bierze, to w zębach niesie, to na szyję zakłada—wreszcie się tam jakoś do kalenicy dogmerał.

Siadł na niej jak na koniu, patrzy... a słońce już ci na kominie siedzi.

— Cegoj mi uciekas?

Znów wziął kurtkę w zęby i poczołgał się po kalenicy aż do komina. Za czym chwycił się kantu, nogę przełożył i na kominie usiadł.

Szarpnął kurtkę Maciuś, a tu jak nie gibnie się, jak nie poleci nosem naprzód!... Zamachał rączkami, ale że nie miał się czego chwycić, to i bach!... grzmotnął w środek komina.

Szczęście, że się nóżkami na jakiejś cegle oparł, to aby po brodę w kominie uwiązł.

— No, nic to — myśli. — Aby kurtecke poniesie, to sie jako zaś z komina wygrzebię.

A tu ci widzi... słońce het, precz na topolę wskoczyło, na gałęzi sobie przysiadło, po przez iście popatruje.

Tego już dla Maciusia było za wiele! Jak nie ryknie płaczem!

— Cegoj mi ciągle uciekas?! Hu-u-u... hu...

Płacze, płacze, aż mu się główina nad kominem trzęsie.

Słyszy Wojciechowa—Maciuś, nie Maciuś? Jakiś dzieciak okrutnie się drze!

Wybiegła z chaty... patrzy...

Nikoguśko nie ma.

Słucha...

Z góry gdzieś głos leci!

Przesłoniła ręką oczy od słońca, rozgląda się.

— Rany Jezusowe! A kaj-żeś ty wszedł?!

A Maciuś rączkami czarnymi od sadzy rozmazuje łzy po buzi.

— Ady... ady.. kazaliście, mamo, na słońcu powiesić. A słońce mi ciągle ucieka... Jakoż za nim na topole wylaze?... Bu-u-u...

I cóż biednie matczysko miało robić!

To wzywając imienia Bożego na ratunek, to lamentując, że ją to chłopaczysko do grobu wpędzi, wyszła Wojciechowa po drabinie na dach i Maciusia z komina wyciągnęła.

Musiała teraz matka nie tylko kurtkę czarną od sadzy drugi raz prać, ale i Maciusia całego do cebrzyka wsadzić i wiechciem a mydłem szorować go, szorować, szorować, aż do siódmego potu.

J. Porazińska


...a ja lubię rączki czyste

K. WALCZAKÓWNA

LECĄ JABŁKA...

co z nimi robić?

Zaczęło się to dosyć dawno, po prawdzie — to od Zosinej choroby. Podobno ludzie na wsi nie wiele się chorobą dzieci przejmują. Może, że i tak się zdarzy, ale naprawdę, to każdą matkę serce o dziecko boli. A już Janowa — nie dziwota, że się trzęsła nad dziewczynką. Miała przecie pięcioro dzieci — zostało jej teraz dwoje, synek i ta mała trzyletnia Zosia. Cóż by matka nie uczyniła, żeby chociaż tę córkę uchronić, ocalić, gdy choróbsko i po nią zdradzieckie łapska wyciąga. Zawiozła więc Janowa Zosię do doktora, właściwie do lekarki, pani Piotrowskiej.

— Cóż, powiada pani Piotrowska, nic tak bardzo złego nie ma, tylko trzeba dziecko inaczej odżywiać. Trzeba jej dawać sporo owocu, jabłuszek; bardzo dobrze będzie dodawać do chleba galaretkę jabłeczną.

— Gdzie to tego dostać?

— W każdym składzie. Aleście przecie powinni mieć swoje zapasy, przecie macie ogródek przy domu?

— O pani kochająca. Jest ta kilka jabłoneczek, ale to jesienią, ledwie dojrzeje, oberwie się i zje. Trochę żyd kupił. Zawsze tego grosza tak się upragnie, to się ta i zapasów nie robi.

— Galaretkę można zrobić z odpadków, z tych jabłek co same opadają. Pewnie i u was sporo się ich zmarnowało. A szkoda, bo w sklepie to kosztuje dosyć drogo.

I prawda, że kosztowało drogo. Mały, całkiem mały słoiczek 4 zł. A zje się to w kilka dni. Kto by nastarczył kupowac. Nie wiele też pewnie Zosi te parę słoiczków pomogło — całe szczęście, że wiosna była już blisko; słońce, powietrze — zrobiły swoje.

Teraz jest już Zosia zdrowa i dosyć duża, do szkoły chodzi i uczy się dobrze. I teraz właśnie, kiedy Janowa wyszła rano do ogródka, okryta płachtą, bo jeszcze mżyło po nocnej burzy i ulewie, patrząc na pootrącane w mokrą trawę owoce, pomyślała sobie:

— Jabłka się marnują.

Kto też to, kiedy i gdzie mówił jej, że takie porzucone w trawie jabłka marnują się, a mogłyby być wykorzystane z wielkim pożytkiem. Kto też to i gdzie? Przypomnieć sobie Janowa nie może, ale schyla się mimowoli i zaczyna zbierać w róg płachty pootrącane wichrem owoce, duże, okrągłe, prawie już dojrzałe, i te mniejsze, a nawet zupełnie nieduże „pściuchy", z których to nigdy żadnej pociechy nie ma i które zwykle leżą pod jabłoniami dopóki nie zgniją. Sporo tego było, cały róg płachty. Przydźwigała to do domu, sama nie wiedząc jeszcze, co z tymi zbierkami zrobi.

— Świniom nazbierałaś? pyta mąż.

Janowa kręci głową w zamyśleniu. Nie, nie świniom. Ale po prawdzie to co z tym zrobić? Można wybrać co zgrabniejsze i ususzyć. Przyda się na zimę. Ale reszta? Te „pściuchy"?

I nagle Janowa już wie. Z nich można robić galaretkę dla dzieci. Mówiła pani Piotrowska, doktorka. Prawda, że Zosia już duża i dzięki Bogu zdrowa. Ale tę mniejsze? Może by im się przydało zimą. O, z pewnością. Ale jak tu zrobić tej galaretki? Co też to za koszt musi być, ile cukru do tego potrzeba? Może ze 2 kilo albo i więcej. Czy to człowiek może sobie pozwolić na taki wydatek? A jak się nie uda? Zresztą nawet niewiadomo skąd się dowiedzieć, jak się to robi. Pewnie najlepiej przebrać do osuszenia, a resztę tak jak stary mówi — świniom wysypać.

Ale wysypała. Odsunęła tylko wszystko na bok, żeby tak na oczach nie leżało i chcący nie chcący medytuje, kto też na wsi może wiedzieć, jak się galaretki robi. Pewnie żona nauczyciela, ale jakoś tak nijako — iść pytać. Przecie — jak co człowiekowi utkwi w głowie, na dobre czy na złe, to go nie prędko popuści. Poszła Janowa koło południa do Spółdzielni, i zabrawszy towar do koszyka, przystanęła jeszcze, aby tak na chybił trafił zagadnąć:

— Nie wiecie wy też czasem jak to się robi taką galaretkę z jabłek, co to w takich słoiczkach? Widzieliście też taką?

— Galaretkę jabłeczną? O, tak. To trzeba jabłka albo strożyny od jabłek — jak jabłka są całe, z pestkami, ze wszystkim,

---

MARIA RADZYMIŃSKA

MATKA

Prawdaż to? Urodziłam dziecię!
O! Łzy moje — Łzy moje szczęśliwe
Serce bólem zmęczone i tkliwe.
— O ludzie! O życie! O świecie!

To — jak dzień mojej pierwszej komunii...
To — jak w pszczelim śpiewie — sad w rozkwicie
To — jak w górach najczystrza krynica.
O świecie! O ludzie! O życie!

Wasza jestem i pełna miłości
Spowiedź czynię z najmniejszej przewiny.
— Cud się stał: Oto jestem — Matką!
Błogosławię cierpienia godziny.

Serce mam przepalone miłością.

Wyciągam do was ręce:
Dajcie dziecinie mojej — urodę swoją i moc.
Wy — kwiaty w rosie stojące,
Wy — ptaki ścielące gniazdka,
Wy — gwiazdy nie zachodzące
Wy — szumy lasów i gajów
Wy — burze piorunowe —
Wy — Ludzie!.

Urodę waszą i pieśń nieustanną — kwiaty i ptaki
Tajemnicę dróg waszych i ładu — gwiazdy
Prawdę wieczną — ty, szumiący lesie
Moc święta piorunów — wy burze
Wy ludzie — serce
dajcie dziecinie mojej.

tylko bez robaków, to najlepiej — to trzeba takie jabłka, wiecie, pokrajać na części, nalać wodą, rozgotować na fest, zlać do worka takiego jak od sera, scedzić ten sok, ale nie wyciskać, a potem ten sok wygotować z cukrem i na gorąco zlewać do słoików.

— A dużoż też tego cukru?

— Na szklankę soku — szklanka cukru.

— O moiściewy, to koszt! Przeciebym z moich jabłek miała ze 40 szklanek.

— A co, chcielibyście zrobić?

— E, tak sie ta ino pytom, bo gdziebym ta tyle pieniędzy mogła wydać. Ino tak se o tym myśle, że to tak się te jabłka marnują, co opadują.

— No przecie, z tych jabłek co opadują galaretka najlepsza, tylko za świeża muszą być zebrane i zrobione, bo po kilku dniach gorzkną, choć nie zgniją. Koszt jest, pewnie. Nie tylko cukier, ale i słoiki trzeba mieć i papier pergaminowy do przykrycia. Ale można i korzyść z tego mieć. Jak zrobi się kilkanaście słoików, trochę sobie można zostawić a resztę sprzedać. Opłaci się. Nie tylko za cukier się zwróci i słoik', ale się jeszcze zarobi.

— Ba, żeby to był taki, co by kupił.

— Hm, prawda i to, że ze sprzedażą nie łatwo. Ale — jak by tak co do czego przyszło, to przez Spółdzielnie moglibyście sprzedać. Zrobiło by się to, czemu nie.

— Może by i worto, bo jo wiem? Ale czasu tyż sie przy tym zmitręży, a może się nie udać to by człowiek był bardzo stratny.

— Ano, pewnie, ryzyko zawsze jest; bez tego, Janowo, nie ma nic na świecie, na to już nie poradzimy.

Czemu by nie można poradzić, myśli Janowa, wracając do domu ścieżką śliską jeszcze po nocnej ulewie. Jak by sie wszystko akuratnie zrobiło, to by musiało być dobrze. A jak by był zarobek, to by sie to przydało. Miłosierny Boże, taki ten grosz ciężki, każdziuśki grosz. Strach stracić, ale zarobić warto, o warto! A jak by i dla tych dziecinek, choć dla tych najmłodszych na zimę zostało, to też jest wielki zysk. Dziecko wiejskie! Czy też ono zawsze będzie takie pozbawione wszelakiego dobra? Czy też dla niego kiedy lepsza dola zaświta?

Może by i zaświtała, ale wyrobiona naszymi rękami, naszymi dziesięcioma twardymi paluchami, naszymi głowami. W tej chwili Janowa mogłaby sobie powiedzieć taki wierszyk, gdyby go znała:

Przyszłość to trud.
Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud,
Lecz zdobyć ją potrzeba.

Janowa nie znała tego wierszyka więc sobie tylko myślała dalej po swojemu po prostu. Robiła codzienną robotę, gotowała zmywała, a uparta myśl nie chciała jej opuścić. Wreszcie pod wieczór już, opłukała zebrane jabłka, pokrajała na części, wyczyściła z robaków i z ziarnkami, nie strugane, zsypała do garnka. Nie bardzo wiedziała ile by to trzeba wody do ich zalania. Ale gospodyni, obeznana z domowymi robotami — też swój rozum ma i nieraz może się go poradzić. Nalała tyle wody, żeby wszystkie jabłka były nią objęte. I właśnie tak było dobrze. Nastawiła je na ogień niech się gotują.

Kiedy się to rozgotowało, jak powiedzieli w Spółdzielni „na fest", zlała wszystko do czysto wypranego i wygotowanego worka od sera. Pewnie, lepiej by mieć do takich rzeczy worek osobny, ale cóż, musiała sobie tak poradzić, bo miała tylko jeden. Kiedy naściekało już płynu jabłecznego w garnek do pełności, podstawiła drugi, a ten przemierzyła szklanką. Zmiłujcie się, ile też by to tego cukru trzeba. Ale cóż robić. Zaczęła, musi skończyć, bo Janowa nie była z takich, co w połowie robotę rzucą. Wybrała się więc znowu do Spółdzielni po cukier i po słoiczki.

— Słoiczków nie ma. Są, ale to za duże. Do galaretek bierze się słoiczki małe, takie, żeby były do zużycia na 3, 4 razy.

Tak to prawda. Akurat takie były te kupne, te Zosine.

— Ja wam tak poradzę, Janowo. Jade jutro do miasta, przywioze słoiczki, dowiem sie też, gdzie by to można po zrobieniu odstawić i jakie będą na to ceny. I tak byście dzisiaj tego nie zrobili bo to sie dosyć długo gotuje, jeszcze wam wszystko nie ściekło, przez noc ściecze, jutro se przy widoku, za dnia wszystko wygotujecie. Taką rzecz to lepiej nie robić po nocy.

— A jak tyż to się długo gotuje?

— Jak wlejecie do garnka, wymierzycie szklankami, to potem se ustrużcie cienki patyczek i tym patyczkiem wymierzcie — ile tego płynu jest na patyczku sobie zaznaczcie, potem sypcie cukier, szklanka cukru na szklankę soku. Gotujcie na ostrym ogniu. Dobrze trzeba wyszumować Jak się tak wygotuje, że będzie w garnku znowu tyle, co było przed wsypaniem cukru, tym patyczkiem sobie wymierzcie, bo na oko to nie zawsze się trafi akuratnie, to będzie mieć wszystko dosyć. Trzeba już mieć naszykowane czyste słoiki, nagrzane, żeby nie pękły i gorące, prosto z ognia, wlewać do słoików.

— Nie popękają to?

— Przecie mówię — jak są nagrzane, to nie popękają, choć się ta pewnie i nie obejdzie bez tego, żeby który i tak nie pękł.

— To już strata.

— Ano trudno. To przywozić, co?

— Przywieźcie. Przecie takiego rozbabranego nie zostawię.

Wygotowała się galaretka i „stanęła" czyli zgalaretowała się bardzo pięknie. Kolor miała jasno-czerwonawy, a klarowna była taka, że można się było przez nią przejrzeć. Ślicznie wyglądała w niedużych, zgrabnych słoiczkach, owiązanych czystym, równo obciętym papierem pergaminowym.

Tego lata zarobiła Janowa na tych galaretkach prawie że 30 zł. A co uciechy było w domu. Nawet „stary" czyli „ociec", choć się krzywił z początku, spróbował i pochwalił:

— Dobre, bo kwaskowate.

— To z niedojrzałych jabłek, ze zbierków kwaskowate. Jak by z dojrzałych, to by było mdłe.

A teraz Janowa ma nowy kłopot. Że się to po wsiach tyle tego dobra marnuje. Żeby tak dobrze wyzbierać po wszystkich ogrodach, to by cała wieś ładnych pare sek sobie zarobiła. Ba, może nawet i z pare tysięcy. Przecie nie zgorsze sady tu i ówdzie ludzie miewają, a w nich przeważnie jabłonki. A przecie i agrest i porzeczki też można tak samo wykorzystać I jeszcze innych rzeczy narobić. Ino — trza by najpierw zrobić jedno: mieć zapewniony zbyt. Żeby tak Spółdzielnia nie tylko nam sprzedawała, ale i wszystko, co zrobimy, od nas zakupowała — o, to by na wsi pewnikiem lepsze czasy nastały. To by się dopiero kobiety mogły ruszyć. O to by dobrze było.

Trza o tym pogadać w Spółdzielni — myśli Janowa.

A zapas domowy — swoją drogą. Janowa nie może się nacieszyć tymi słoikami, które sobie w domu zostawiła Jest coś dla dzieci na zimę, dzięki Bogu, nie będą już takie ukrzywdzone.

Stypendia na naukę spółdzielczości

Centralna Kasa Spółek Rolniczych, która jest Spółdzielnią, skupiającą nasze Kasy Stefczyka, wypłaciła tego roku o pół procent mniejszą dywidendę członkom i stworzyła z tego duży fundusz, bo około 20.000 zł. na pożyczki stypendialne. Fundusz ten utworzono dla uczczenia pamięci zmarłego wielkiego w Polsce spółdzielcy inż. Zygmunta Chmielewskiego i nazwano go jego imieniem. Pieniężny ruch spółdzielczy zaczyna doceniać znaczenie wychowywania i kształcenia spółdzielczego młodego, czynnego pokolenia chłopskiego, wychodzącego z kół młodzieży wiejskiej. Ono jako najmłodsze i najżywsze dało już dowody swego twórczego rozmachu w życiu spółdzielczem.

Ze stypendiów im. Z. Chmielewskiego korzystać mogą synowie i córki członków Kas Stefczyka, drobnych rolników na kształcenie spółdzielcze w Szkołach Spółdzielczych i na poważniejszych kursach spółdzielczych. Pożyczki są bezprocentowe zwrotne po dłuższym czasie.

Pragnący skorzystać z pomocy, niechaj się zwracają do zarządu funduszu przy Centralnej Kasie Sp. Rol. w Warszawie, ulica Warecka 11 a.

Str

NOWINY

PODATEK OD KAWALERÓW I BEZDZIETNYCH

We Francji jest mały przyrost ludności, tak, że staje się to groźne dla przyszłości narodu. Rząd stara się ten przyrost zwiększyć i w tym celu rodzinom obarczonym dziećmi przyznaje różne ulgi i świadczenia, natomiast na bezdzietnych i kawalerów nakłada specjalne podatki.

Wysokość tego podatku zależna jest od dochodów płatnika. Osoby, których dochód jest niższy od 50 tys. fr. płacić będą 3 procent, a osoby posiadające powyżej 800 tys. fr. dochodu — 20 procent. Małżeństwa, które po dwóch latach nie mają dzieci płacić będą podatek wynoszący 2/3 podatku, jaki płacą osoby wolne. Zwolnieni od podatku są ci płatnicy, których dzieci zmarły, gdy przynajmniej jedno z nich dożyło lat 16-tu; dalej pobierający rentę inwalidzką 40-procentową lub wyższą, oraz płatnicy mający na swym utrzymaniu jedno lub kilkoro dzieci.

NIEMCY STRZELAJĄ DO DZIECI

W Czechosłowacji raz po raz wybuchają bunty społeczeństwa czeskiego przeciw ciemiężcom niemieckim. Bardzo niepewnie czują się hitlerowcy w podbitym kraju. Kiepsko jest z nimi skoro ogarnia ich strach przed patriotyzmem małych dzieci. Oto jakie zdarzenie podają dzienniki angielskie:

Do miasta Zlin przyjechała wycieczka czeskich dzieci szkolnych, która poszła do kina. Tutaj pokazano jej między innymi akt podpisania sojuszu między Włochami i Niemcami. W pewnej chwili taśma się zerwała i zapalono światło. Dzieci wybuchły śmiechem ku oburzeniu tajnej policji niemieckiej, która uznało to za demonstrację antyhitlerowską. Gdy wycieczka opuszczała kino aresztowano trzech chłopców na chybił trafił jako rzekomych prowodyrów. Gdy jeden z nich usiłował zbiec dano za nim trzy strzały i raniono go.

W drodze powrotnej zaaresztowano resztę dzieci za to, że w przejeździe przez ziemie czeskie, zagarnięte przez Niemców, wyglądając oknem, sykały. Oto jak wygląda kultura narodu, który uważa się za wybrany do rządzenia światem, a nie waha się walczyć z bezbronnymi dziećmi. Ale tak jak pomściła się na Niemcach krew dzieci polskich z Wrześni, tak i ta zbrodnia doczeka się pomsty.

404 MILIONY ZŁ. NA LOTNICTWO

Generalny komisarz pożyczki lotniczej gen. broni inż. L. Berbecki ogłosił wyniki pożyczki lotniczej. Mimo przednówku, który utrudniał wpłatę rolnikom, mimo, że przygotowywanie do pożyczki trwało krótko, a zadeklarowaną sumę trzeba było wpłacać w ciągu 3-ch miesięcy — pożyczka dała 404 miliony zł., z czego ¾ już zostało wpłacone do kas państwowych i użyte na budowę samolotów oraz artylerii przeciwlotniczej. Społeczeństwo polskie wykazało raz jeszcze, że wolność swojej Ojczyzny ceni ponad wszystko i niema ofiary, której by dla jej obrony nie złożyło. Suma ta nie jest ostateczna, gdyż ciągle jeszcze ofiarodawcy się zgłaszają.

WDOWA PO WOJCIECHU DRZYMALE CHORA

Dzielną towarzyszką Drzymały w tych zmaganiach z Niemcami była jego żona Michalina. Ś. p. Wojciech Drzymała odszedł już w zaświaty, a wdowa po nim 84-letnia staruszka żyje, lecz niestety ostatnio zachorowała. Samorząd powiatowy w Wyrzysku zajął się sędziwą Drzymaliną wysyłając ją własnym kosztem na leczenie do Inowrocławia.

MAJĄTKI NIEMIECKIE CZEKAJĄ NA PARCELACJĘ

Około 150 tysięcy hektarów niemieckich gruntów czeka na rozparcelowanie ich między polskich chłopów. Pisaliśmy już o tem w jaki to bezwzględny sposób w byłym zaborze pruskim Niemcy wydzierali ziemię Polakom po to, by na niej osadzić kolonistów i obszarników niemieckich.

Dziś każdy Niemiec osiadły na polskiej ziemi choć je nasz chleb, jednak Polski nienawidzi a osiedla niemieckie to twierdze hitlerowskiej zarazy.

ODPOWIEDZI ADMINISTRACJI

Ob. Kopytówna G. — Borek p. Jeziorna. Otrzymaną sumę 1 zł. zaliczyliśmy za III kwartał, a nie II półrocze.

Ob. Wojtychówna — Podlesie egzempl okazowe i przekazy wysłaliśmy.

Ob. Lenar — Orzechowce egz. majowy wysłaliśmy. Dziękujemy za obszerny list w którym dzielicie się z nami wspomnieniami i myślami o dawnych i obecnych czasach. Za życzenia jesteśmy bardzo wdzięczni.

„Włościanie“ z Potoka Wielkiego. W odpowiedzi na drugi list komunikujemy, że wysłaliśmy po 2 egzemplarze „Kobiety Wiejskiej“ wraz z przekazami pod wskazanymi adresami. Wysyłamy jeszcze jeden egzemplarz po raz ostatni z tą uwagą, że byt naszego pisma opiera się wyłącznie na prenumeratorach i nie mamy pieniędzy, aby darmo wysyłać. Pozatym do listu trzeba przykleić za 25 groszy znaczek, a nie za 5 groszy, wskutek czego redakcja musiała dopłacać.

Do sierpniowego numeru załączamy przekazy rozrachunkowe, którymi prosimy opłacić zaległą prenumeratę.

Numer wrześniowy będzie wysłany tylko tym, którzy nie mają zaległości

A mimo to do dziś dnia niewspółmiernie wielkie obszary ziemi, bo około 150 tysięcy hektarów jest w posiadaniu niemieckim. O to co pisze Spólnota. W woj. poznańskim na ogólną ilość użytków rolnych 27.6 procent czyli 682 tysiące hektarów, a w woj. pomorskim 21.8 procent czyli 355 tys. ha. jest w rękach Niemców. Zaś ludność niemiecka, według spisu z 1931 r. stanowi na Pomorzu 9.8 procent, a w poznańskim 9.2 procent ogółu ludności tych województw.

Czas skończyć ze wspaniałomyślnością wobec tych — co nie są lojalnymi obywatelami w Polsce a ziemię tę zwrócić chłopom polskim.

Prenumerata — „Kobieta Wiejska“, — wynosi: kwartalnie 1·— zł półrocznie 2·— zł — rocznie 3·50

CENNIK OGŁOSZEŃ: cała strona — 200·— zł 1/2 strony 100· zł· — 1/8 strony 50 zł — Za treść ogłoszeń. Redakcja nie odpowiada.

Miejsce wydania: Markowa k/Łańcuta Redaktor i Wydawca: HANNA CIEKOTOWA

Adres Redakcji i Administracji: „Kobieta Wiejska“, Markowa k/Łańcuta, Spółdzielnia Zdrowia. Numer Rozrachunku 1.

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4. — Telefon 185-18.

